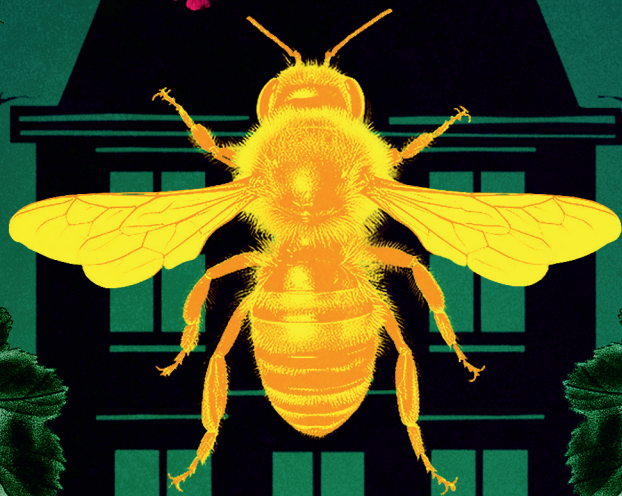




Kamienica pszczół

NATASZA SOCHA

zwierciadło



NATASZA SOCHA



Kamienica pszczół

zwierciadło

Ul nigdy nie śpi. Nawet gdy mrok osiada na woskowych ścianach, a cisza nocy kładzie się na plastrach, wewnątrz tętni życie – pulsuje, wibruje, drży. To organizm, który ani na chwilę nie przestaje oddychać.

W jego sercu, ukryta w labiryncie miniaturowych korytarzy, dowodzi matka. Królowa. Jest rdzeniem całej struktury, a jej obecność wyznacza sens życia tysięcy robotnic. To ona składa jaja, jedno za drugim, w idealnie sześciokątne komory. Jej feromony są niewidzialnym spoiwem, które trzyma wspólnotę w ryzach. Jest szefową, ale nie wszechmocną – nie przetrwałaby sama, bo ul to symbioza, stabilna równowaga obowiązków i ról.

Najwięcej jest robotnic. Pracują od świtu do zmierzchu, a nawet dłużej. Zanim wyruszą w świat, na loty wśród kwiatów, przechodzą przez rytuał dorastania. Najpierw czyszczą komory – usuwają resztki wosku, martwe larwy, przygotowują miejsce dla nowego życia. Potem przychodzi czas karmienia – najmłodsze z nich, ledwie wyklute z kokonów, są jak bezbronne pisklęta. Trzeba je poić mleczkiem, dbać o ich rozwój, by za kilka dni same mogły wyruszyć do pracy.

Nie każda pszczoła dostąpi zaszczytu zbierania nektaru. To rola tych najsilniejszych, najbardziej doświadczonych. Ich loty

są ryzykowne – wiatr może rozerwać im skrzydła, deszcz uwięzić w kropli wody, drapieżnik zakończy życie w jednej sekundzie. Mimo to odlatują codziennie, nie myśląc o niebezpieczeństwie. Przenoszą pyłek i nektar, zapylając świat. I tak każdego dnia.

Są też strażniczki. Ciche, czujne, gotowe zginąć, by bronić swojego miejsca na ziemi. Stoją u wejścia do ula, poruszając czułkami, badając zapachy przybyłych. Intruz nie ma szans – obcy aromat jest automatycznie wyrokiem. Pszczoła nie atakuje, ale jeśli musi, wbija żądło i płaci za to własnym życiem. Jej ofiara to cena za bezpieczeństwo innych.

Starsze pszczoły czują, kiedy zbliża się ich koniec. Skrzydła mają poszarpane, ruchy stają się wolniejsze. One już wiedzą, że ich czas mija. Opuszczają zatem ul, odchodzą gdzieś między trawy lub cienie liści i tam zasypiają. Ich miejsce nie pozostanie jednak puste – młodsze pszczoły przejmą obowiązki, a kolejne pokolenia napelnia komory złotym pyłkiem.

Życie w ulu to ciągły ruch. To więcej niż zbiorowość, to wspólnota spleciona niewidzialną siłą, której nie sposób rozplątać bez zniszczenia całości. Ul to coś więcej niż suma jego części – to odwieczna symfonia przetrwania.

ROZDZIAŁ 1

Kamienica na rogu



Ten budynek w zasadzie mógłby stać wszędzie – w każdym mieście, na każdym rogu, wpleciony w siatkę ulic jak stały punkt na mapie codzienności. Jest symbolem życia, wsparcia, pomagania sobie wzajemnie mimo wszystko. Ale może też okazać się więzieniem. Granica jest delikatna, prawie niezauważalna.

Kamienica wznosi się na trzy piętra, lecz jej wygląd jest skromny, może nawet niepozorny. Tynk na elewacji od lat nosi ślady wiatru i deszczu, łuszcząc się miejscami jak stare płótno, spod którego prześwitują pierwotne cegły. Stara sztukateria, gdzieniegdzie nadkruszona, opowiada o czasach, kiedy w budownictwie liczył się detal, ściany zaś miały zdobić, a nie tylko dzielić przestrzeń.

Okna są różnej wielkości i mają charakterystyczne szprosy. Te na najwyższym piętrze są najmniejsze, przyciśnięte do dachu jak powieki zamykające się wieczorem. Balkon na drugim piętrze ma efektowne zdobienia i mnóstwo pelargonii w kolorze wściekłego różu. Drzwi wejściowe są wysokie, ciemne i skrzypią cicho przy każdym otwarciu ich na oścież.

Wewnątrz kamienicy znajduje się sześć mieszkań, niczym osobne komory w ulu. Na parterze jest jedno, wciśnięte w narożnik,

z oknami od strony brukowanej ulicy. Wyżej – pięć kolejnych (po dwa na pierwszym i drugim piętrze, jedno na trzecim), a każde z nich jest duże, wysokie i ma piec kaflowy.

Kamienica została wzniesiona w 1897 roku, a postawiono ją z myślą o rzemieślnikach i urzędnikach. Przez dekady zmieniały się w niej pokolenia – były tu rodziny z dziećmi, samotne wdowy, mężczyźni, którzy wychodzili rano do pracy i wracali późnym wieczorem, a w swoich mieszkaniach tak naprawdę tylko spali. Pod szóstką przez ponad czterdzieści lat mieszkał zegarmistrz, który nigdy się nie ożenił i z nikim nie rozmawiał dłużej niż kilka minut. Zmarł w swoim łóżku, a kiedy zaczęto sprzątać jego rzeczy, znaleziono setki zepsutych zegarków, które nagle stanęły. Pod czwórką z kolei żyła kobieta, która piekła chleb dla całej kamienicy – jej drożdżowe bochenki miały być ponoć najlepsze w okolicy. Pewnego dnia zniknęła bez śladu, a sąsiedzi szeptali, że pojechała za miłością swojego życia i nigdy nie wróciła.

Nadszedł moment, kiedy kamienica zamilkła. Ostatnia mieszkanka zmarła pod koniec 2002 roku, w łóżku z ciężką drewnianą ramą, która pamiętała więcej historii, niż ona sama zdążyła przeżyć. Potem nastała cisza.

Budynek planowano zburzyć – władze miasta uznały go za zbędny relikwitu przeszłości, a nawet przeszkodę na drodze do nowoczesności. Rozważano zrobienie w tym miejscu parkingu albo postawienie kolejnego biurowca, z szarym szkłem i idealnie równą fasadą, bez wgnieceń, bez rys, bez duszy. Ale wtedy pojawiła się Alicja.

Wprowadziła się do mieszkania na parterze i zajęła lokal, który wcześniej przez dekady służył jako sklep spożywczy, następnie jako warsztat szewski, a przez chwilę nawet jako pralnia. Zamieniła go w pracownię krawiecką. Nie szyła sukien ślubnych ani

garniturów na miarę – jedynie czarne ubrania. Sukienki, płaszcze, marynarki. „Inne kolory zaburzają harmonię” – mawiała, odrzucając z niechęcią myśl o czymkolwiek w odcieniu błękitu czy czerwieni. Jej czarne kreacje były doskonałe – eleganckie, starannie skrojone, o prostych liniach. Szyłaby pewnie nawet czarne chusteczki, gdyby ktoś odważył się o nie poprosić. Współpracowała z kilkoma butikami, które zamawiały u niej ubrania. Jednym z nich był sklep z odzieżą żałobną.

To dzięki niej kamienica ocalała. Stała się jej strażniczką, niemal jak pszczoła strzegąca ula. Jak się bowiem okazało, była jedyną spadkobierczynią budynku – zapisaną w testamencie dalekiej krewnej, której nigdy nie poznała, ale która sama nie miała żadnej innej rodziny. Kiedy ruszyła machina administracyjna, Alicja udowodniła, że kamienica spełnia wszelkie kryteria, by uzyskać status zabytku. Miała ponad sto lat, zachowała oryginalne dekoracje fasady, a w jej wnętrzu nadal znajdowały się drewniane schody i zdobione sufity – detale, które zniknęły już z większości budynków w okolicy. Co więcej, choć była zaniedbana, to nie na tyle, by nadawała się do wyburzenia. Nowy dach, wymiana instalacji gazowych i kilka solidnych remontów wystarczyły, by przywrócić ją do funkcjonalności.

Wraz z Alicją do kamienicy wróciło życie – powoli, ostrożnie, ale konsekwentnie. Jakby sam budynek wyczuł, że znów jest komu służyć.

Alicja miała teraz sześćdziesiąt sześć lat i wyglądała jak ktoś, kto nie uznaje kompromisów. Była wysoka, wyprostowana jak struna i dość postawna. Swoje długie siwe włosy zwykle splotała w gruby warkocz, który układał się niczym srebrna wstęga na plecach. Nie farbowała ich – mówiła, że każda siwa nitka to jej własna historia, a żadnej z nich nie zamierzała ukrywać.

Jej twarz, choć obsypana zmarszczkami, miała w sobie coś magnetycznego. Może powodowały to te wielkie, czarne okulary, za którymi ukrywała dość ponure spojrzenie, a może czerwień jej ust, zawsze perfekcyjnie pomalowanych i stanowiących jedyny akcent kolorystyczny, na jaki sobie pozwalała. Ubierała się wyłącznie na czarno, ale nie była to czerń żałoby, lecz wybór, świadoma deklaracja. W czerni czuła się harmonijnie, mówiła, że wtedy nic jej nie rozprasza, wszystko pozostaje spójne, jak dobrze skrojona historia.

Kryło się za tym coś więcej, ale Alicja broniła swojej tajemnicy niczym pszczoła strażniczka.

Po raz pierwszy przekroczyła próg odziedziczonej kamienicy w chłodny, jesienny poranek. To było prawie dwadzieścia lat temu. Miała wrażenie, że budynek czekał na nią jak pies na swojego właściciela – zmęczony, zaniedbany, ale pełen cichej nadziei. Jej buty lekko stuknęły o kamienną posadzkę w sieni, odbijając się echem od wysokich ścian. Czuła zapach starego drewna i kurzu, delikatny, niemal słodki, jak książki leżące na półce i nietykane przez lata.

Zatrzymała się na moment, muskając opuszkami balustradę schodów. Drewno było gładkie, ciepłe, a pod palcami poczuła subtelne wyżłobienia – ślady po dłoniach tych, którzy przed laty codziennie jej dotykali. Przymknęła powieki. To miejsce miało swoją pamięć, zakłęta w ścianach, w skrzypiących deskach schodów, w mosiężnych klamkach drzwi. Miało swoją przeszłość, możliwe, że równie ciemną jak ta Alicji.

Okna mieszkania na parterze wychodziły na ulicę, cichą o tej porze dnia. Gdy weszła do środka, od razu wiedziała, że właśnie tu zostanie. Nie potrzebowała niczego więcej. To nie była decyzja, to było rozpoznanie – jakby w tym miejscu odnajdywała coś,

co kiedyś zgubiła. Postawiła walizkę przy drzwiach, a potem się uśmiechnęła. Przez długą chwilę stała w ciszy, chłonąc wnętrze i jego zapach. To była jej przestrzeń. Jej schronienie. Jej nowe życie.

Prawie rok mieszkała tu sama, delektując się samotnością.

Ale królowa w ulu nie może funkcjonować bez towarzyszek. Nawet jeśli zaczyna budować nowy rój, jej samotność jest iluzoryczna, krótkotrwała. Bez robotnic nie przetrwa – jej zadanie to składanie jaj, a jej przeżycie zależy od tych, które ją otaczają. Od pierwszych chwil w nowym gnieździe jest otoczona troską, karmiona mleczkiem pszczelim, osłaniana przed chłodem i zagrożeniami. Tak jak ul potrzebuje królowej, tak królowa potrzebuje swojego roju.

I wtedy w życiu Alicji pojawiła się Agnieszka.

ROZDZIAŁ 2

„Nie chcę cię więcej widzieć”



Rok 2014

Alicja urządziła swoje mieszkanie w sposób surowy, ale przemyślany. Nie było tu zbędnych bibelotów ani kolorowych ozdób – tylko to, co funkcjonalne i spójne z jej estetyką. Ściany pomalowała na ciemny grafit, a na podłodze zostawiła stare deski. Meble były proste, starannie wybrane – czarne, drewniane, o minimalistycznych formach.

W kącie pokoju stała duża maszyna do szycia, model sprzed kilku dekad, z masywnym żeliwnym korpusem. Obok niej – półki wypełnione materiałami, wszystkie w odcieniach czerni, od głębokiego antracytu po tę wpadającą w granat. Tkaniny zostały starannie poskładane, a nici ułożone w równych rzędach. Nic tu nie było przypadkowe.

W sypialni znajdowały się wąskie łóżko z metalową ramą, prosta szafa i mały stolik nocny. Na parapecie w czarnej donicy rósł bluszcz o długich, wijących się pędach, jedyny akcent życia w tym ascetycznym mieszkaniu, ale Alicja pozwalała mu rozrastać się bez ograniczeń, jakby dostrzegła w nim swój własny

charakter – zdecydowany, niezłomny, gotowy przetrwać mimo wszystko.

Jej przestrzeń nie była jednak zimna czy ponura, tylko na swój sposób uporządkowana, pełna spokoju i harmonii. To było miejsce stworzone dla kogoś, kto nie potrzebował rozproszeń, kto najlepiej czuł się w surowej prostocie. To było miejsce Alicji.

– Pora na herbatę – mruknęła pod nosem, a kilka sekund później zmarszczyła czoło, bo nagle usłyszała dziwne dźwięki dochodzące z ulicy. Nie były to zwyczajne odgłosy przechodniów ani przypadkowa rozmowa – całość wybrzmiewała dość ostro, a napięcie niemal wibrowało w powietrzu. Zaciekawiona podeszła do drzwi wejściowych, lekko je uchyliła i wyjrzała na zewnątrz.

Tuż przy krawężniku stała kobieta. Jej sylwetka była pochylona, a ręce zaciskały się na pasku sporej granatowej torby. Naprzeciwko niej stał mężczyzna – wysoki, postawny, z twarzą zamazaną cieniem latarni. Słowa, które padały, były ostre, krótkie, pełne niedopowiedzianych wyrzutów.

– Nie chcę cię więcej widzieć – oznajmiła ostatecznie kobieta. Jej głos był zmęczony, ale zdecydowany, spojrzenie zaś harde, nieakceptujące żadnych kompromisów.

Mężczyzna coś odpowiedział, lecz jego słowa zginęły w zgrzynie zamykanych drzwi samochodu. Kobieta zrobiła krok w tył i położyła dłoń na murze kamienicy, jakby potrzebowała oparcia. W jej ruchach można było wyczuć napięcie wymieszane z ledwo powstrzymywanym gniewem, ale także rodzaj ulgi.

– Jedź do diabła – dodała cicho, ale na tyle głośno, by zabrzmiało jak rozkaz.

Silnik zawarczał, światła przesunęły się po ścianach budynku, a potem auto odjechało, zostawiając ją samą na pustej ulicy.

Przez chwilę kobieta wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze przed momentem stał samochód, a następnie sięgnęła do kieszeni płaszcza, wyjęła papierosa i zapaliła go. Dym uniósł się leniwie, rozpuszczając się w chłodnym wieczornym powietrzu. Jej dłoń nieznacznie drżała, jakby adrenalina jeszcze nie opadła.

Alicja patrzyła na nią przez uchylone drzwi. Z jakiegoś powodu nie potrafiła odwrócić wzroku. Kobieta była dla niej obcą osobą, a jednocześnie dziwnie znajomą, zupełnie jak ktoś, kogo już kiedyś spotkało się w innym życiu.

Cofnęła się do kuchni, a chwilę później wyszła przed dom, trzymając w dłoniach dwa kubki kawy. Gorącej, parującej, mocnej – takiej, która koila bardziej aromatem niż smakiem. Wrzesień pachniał mokrymi liśćmi i zapowiedzią deszczu. Powietrze było wilgotne, a chłód wciskał się pod ubrania.

Kobieta nadal stała przy murze kamienicy, z torbą u stóp, zapatrzona w niebo. Zgasła butem niedopałek papierosa i szczelniej otuliła się kurtką. Alicja wyciągnęła w jej stronę rękę z kawą. Nieznajoma nie okazała zdziwienia i, zupełnie jakby to było coś naturalnego, wzięła kubek, by ogrzać nim dłonie.

- Agnieszka – mruknęła tylko.
- Alicja.

Stały tak przez dłuższą chwilę, wsłuchane w szelest pierwszych kropli deszczu odbijających się od parapetów. Alicja upiła łyk kawy, czując jej ciepło rozlewające się po ciele. Agnieszka również uniosła kubek do ust i zamknęła oczy. Milczenie między nimi było jak miękki koc, nie miało w sobie nic z niezręczności, było wygodne, znajome. W tej ciszy nie chodziło tylko o zwykłą wymianę spojrzeń, ale o uznanie, akceptację, jakieś ciche porozumienie, którego nie trzeba nazywać.

Alicja odetchnęła głęboko. Wiedziała, że od tej pory w kamienicy nie będzie już mieszkać sama.

Agnieszka miała czterdzieści dwa lata, ale wyglądała na co najmniej dekadę mniej. Nie była typem kobiety, która świadomie zabiega o młodość – jej uroda zdawała się trwać w zawieszeniu gdzieś między dzieciństwem a dorosłością. Miała rude włosy do ramion, lekko kręcone. Do tego duże niebieskie oczy, okolone ładnymi ciemnymi rzęsami. Kilka piegów rozsianych na policzkach, małą bliznę na nosie i wąskie brwi. Drobną, szczupłą, energiczną. Ubierała się zwykle w luźne dresy, jakby unikała wszystkiego, co mogłoby nadać jej sylwetce wyraźniejszy kształt. Nie była osobą, która mówi tylko po to, by wypełnić przestrzeń dźwiękiem. Woląла raczej milczeć, by nie tracić energii na niepotrzebne słowa. Nie lubiła kotów, ale to osobna historia.

Agnieszka obejrzała wszystkie wolne mieszkania, ale od początku wiedziała, że wybierze to na pierwszym piętrze. Miało ono dwa duże okna wychodzące na ulicę i jedno skierowane na podwórko – małe, z widokiem na dachy sąsiednich domów – nierówne, przysypane liśćmi i zgubionymi przez wiatr reklamówkami. Podeszła do parapetu i przejechała po nim dłonią – farba łuszczyła się cienkimi płatkami, jak stara skóra, ale drewno pod spodem było zdrowe.

Alicja czekała w drzwiach, oparta o framugę.

– Mogę pomalować tak, jak chcę? – spytała Agnieszka.

– Możesz – odparła właścicielka, wzruszając ramionami.

Nie padło pytanie: „Na jaki kolor?” i to było bardzo fajne. Agnieszka nie lubiła bieli. Była zbyt sterylna. Zbyt podatna na zabrudzenia. Zbyt nijaka. Ściany musiały coś mówić, mieć odciśnięcie jej myśli. Pewnie wybierze popielaty, może ciemny błękit,

a może trochę ochry. Na razie jednak nie miało to większego znaczenia. Ważniejsza była przestrzeń.

– A mogę zburzyć ścianę? – Wskazała na tę dzielącą kuchnię od pokoju.

Alicja spojrzała na nią z zaciekawieniem, unosząc brwi.

– Nie lubię ciasnych pomieszczeń – wyjaśniła Agnieszka. – Kuchnia jest jak klatka. Nie umiem wtedy swobodnie oddychać.

Alicja otworzyła usta, jakby chciała coś dodać, ale zamiast tego tylko skinęła głową. Zrozumiała. To nie była kobieta, która potrzebowała ścian.

– Jest działowa – powiedziała tylko. – Możesz burzyć.

* * *

To miała być zwykła rozmowa, ale przerodziła się w kłótnię o kota. Agnieszka pamiętała ten wieczór dokładnie – dźwięk telewizora szumiącego w tle, zapach herbaty miętowej, którą zdążyła zaparzyć, zanim usiadła naprzeciwko niego. Była gotowa, przemyślała każde zdanie.

– Musimy porozmawiać – powiedziała, ale Marek nawet nie podniósł głowy znad telefonu. Zamiast tego pokręcił nosem, spojrzał na zwiniętego w kącie kanapy sierściucha i mruknął:

– Wydaje mi się, że coś mu jest. Patrz, jakiś taki osowiały.

Zgrzytnęła zębami. Chciała wrzasnąć, że nie chodzi o kota. Że chodzi o nich. Że jest zmęczona. Że przez ostatnie miesiące czuła się bardziej jak jego współlokatorka niż partnerka. Ale on wpastrywał się w futrzastą twarz Kinga, jakby właśnie tam, w tych jego zwężonych żrenicach i wylizanych wąsach, kryła się prawdziwa odpowiedź.

– Może jest chory – dodał, wstając i podchodząc do zwierzęcia. – Chyba trzeba go zabrać do weterynarza. Może czymś się struł.

Agnieszka przycisnęła palce do skroni. Nie. To nie miało sensu. Nie była zła na kota. Była zła na Marka, że zamiast rozmawiać, zawsze znajdował jakiś temat zastępczy. Kot, praca, kursy walut, pogoda, korek na obwodnicy, zepsuty odkurzacz, niedziałające radio, śrubki, przewody, kable. Każdy temat był ważniejszy od nich i pozwalał uniknąć tego, czego unikał od miesięcy. Dialogu.

– Możemy pogadać o czymś innym? – spytała, starając się, by jej głos nie brzmiał jak dźwięk świeżo naostrzonej piły.

Ale on już był w innym miejscu. Już szukał w internecie objawów kociej apatii, już zastanawiał się, czy powinien zmienić karmę, już dzwonił do znajomego, który też miał kota i „znał się na takich rzeczach”.

I wtedy zrozumiała. To nie było chwilowe. To nie był zbieg okoliczności. Tak wyglądało ich życie. Oboje krążyli wokół siebie jak satelity, udając, że są razem, ale nigdy tak naprawdę nie będąc w tym samym miejscu. Kot stał się tylko symbolem. W oczach Marka, w jego dotyku i słowach, zawsze przebijało się coś ważniejszego. I to nigdy nie była ona.

Kilka tygodni później spakowała walizki i po prostu wyszła. Bez pożegnań, bez dramatów. Kot został. A ona po raz pierwszy od dawna mogła oddychać. Tylko po jaką cholerę wróciła? Bo znowu ją przebłagał i obiecał złote góry? Jak długo można być tak naiwną?

Wróciła do Marka z nadzieją na lepsze jutro i pojutrze. Ale szybko się okazało, że znowu przegrała nie tylko z kotem, ale i pewną panią weterynarz, która tym kotem się zajmowała. Zobaczyła ich na ulicy. Nie trzymali się za ręce, nie patrzyli na siebie w sposób, który wszystko zdradza. A jednak w tym obrazie było coś intymnego. Może to, że szli zbyt blisko siebie, może to, że ta kobieta mówiła, a on słuchał, naprawdę słuchał, nie jak

wtedy, kiedy to Agnieszka chciała mu powiedzieć coś ważnego. Może chodziło o to, jak ona się śmiała, a on się nie denerwował – nie przerywał, nie przewracał oczami. Patrzył na nią i uśmiechał się jak ktoś, kto znalazł coś, czego długo szukał.

Agnieszka się zatrzymała. Świat zwolnił, ale nie tak jak w filmie, gdy wszystko dzieje się w ślimaczym tempie i człowiek ma czas na przemyślenia. Nie. To było inne zatrzymanie. Jak wtedy, gdy idzie się bardzo szybko i nagle uderza w szklaną ścianę, której wcześniej się nie zauważyło.

Było zimno, ale ona tego nie czuła. Miała nawet rękawiczki w kieszeni, chociaż był wrzesień, ale nie założyła ich, mimo iż skóra na dłoniach napięła się od chłodu. Patrzyła, czekając, aż któreś z nich zrobi coś, co nie pozostawi żadnych wątpliwości. Ale oni tylko skręcili w stronę kawiarni, zniknęli za drzwiami i to wystarczyło. Wiedziała.

Nie podeszła. Nie było sensu. Nie chciała sceny na środku ulicy, spojrzeń przypadkowych ludzi, wymuszonych tłumaczeń. To nie był czas na krzyki. To był moment na zrozumienie, że znowu zaufała komuś, kto nie umiał być z nią na serio. Poczuła, jak w brzuchu zaciska się coś twardego, coś, co miało przypominać gniew, ale bardziej przypominało zmęczenie.

Odeszła w przeciwną stronę, nie oglądając się za siebie. W głowie miała jedno zdanie: „Nigdy więcej”. Późnym popołudniem bez słowa wyjaśnienia poprosiła Marka, żeby odwiózł ją do znajomej.

– Będziesz u niej mieszkać? – zdumiał się, widząc przygotowaną torbę.

– Tak – odparła przez zaciśnięte zęby.

Nie zapytał o nic więcej, zupełnie jakby go to nie do końca obchodziło.

W samochodzie zaczął marudzić, że utknął w korku, a zbliża się godzina karmienia Kinga.

– Zatrzymaj się! – krzyknęła wtedy.

Wcisnął hamulec i spojrzał na nią wystraszony.

– Co jest? Co się dzieje?

– Nie chcę cię więcej widzieć – powiedziała tylko, szarpnęła za klamkę i wysiadła przed kamienicą Alicji, chociaż to był zupełnie przypadek.

A ponieważ życie to suma przypadków, więc wszystko się zgadzało. Na szczęście to był dobry przypadek. Przynajmniej do czasu.





W

dużym mieście, przy pewnej ulicy stoi trzypiętrowa kamienica, którą jakiś czas temu skazano na rozbiórkę. A jednak przetrwała. Ocalała dzięki Alicji. To ona zamieszkała tu jako pierwsza – milcząca kobieta z tajemniczą przeszłością. Odnowiła mieszkania, tchnęła życie w puste pomieszczenia, odmalowała ściany. Twierdziła, że chce stworzyć bezpieczną przystań dla kobiet.

Z czasem do kamienicy wprowadza się sześć lokatorek. Każda jest inna, każda ma swoją historię, ale wszystkie coś ukrywają. To miejsce przypomina strukturę ula – z Alicją w roli królowej. To ona nadaje rytm, to do niej o pomoc zwracają się pozostałe mieszkanki. Równocześnie chroni i kontroluje. W zamkniętym, pulsującym życiu gnieździe z tajemnicami wszystko wydaje się mieć swoje miejsce – a każda zmiana budzi niepokój.

Miedzy remontami, przemalowywaniem ścian i ustawianiem mebli wychodzą na jaw traumy, złe wspomnienia, zdradliwa przeszłość. Czy Alicja naprawdę chce pomóc? Czy kamienica jest faktycznie schronieniem, czy może pułapką? Co się stanie, kiedy wszystkie sekrety wyjdą na jaw?

**Przy kawie i cieście płyną opowieści
– o życiu z poczuciem winy, o tym, co zrobić,
kiedy nie ma już dokąd pójść.
I czy naprawdę można zacząć od nowa.**

Sugerowana
cena detaliczna 49,90 zł

ISBN 978-83-8132-691-9



Książka dostępna na
sklep.zwierciadlo.pl

Książka ukazała się jako
ebook i audiobook

Patroni medialni:

psychologia dla ciebie

sens

zwierciadlo.pl